

Przetom

Redaktor:

Dr. Witold Lewicki.

TREŚĆ:

Konfederacya Rzeszowska	353
<i>M. Wierzbński</i> : Prof. T. H. Huxley	365
<i>W. Lutosławski</i> : Tydzień na Oceanie Atlantyckim	371
<i>Ludwik Szczepański</i> : W ramach z filigranu	381

Wychodzi co sobotę.

Cena kwartalnie 2 złr. 50 ct., numer pojedynczy 30 ct.



WIEDEN.

Skład główny we Wiedniu w księgarni **Wilh. Frick**, I. Graben Nr. 27
 we Lwowie w księgarni **Jakubowskiego & Zadurowicza**
 w Krakowie w księgarni **S. A. Krzyżanowskiego**.

1895.

TREŚĆ dotychczas wydanych zeszytów:

- No. 1. Od redakcyi. — *Dr. T. Rutowski*: Ruch ludowy i stronnictwa narodowe. — *Ks. Dr. A. Kopyciński*: Rola księdza polskiego. — *Prof. A. Wachnianin*: Stronnictwa na Rusi halickiej. — *Prof. Dr. A. Sokółowski*: Uwagi krytyczne nad historią powstania styczniowego. I. — *Dr. Witold Lewicki*: Ad limina Apostolorum.
- No. 2 u. 3. *Stanisław Szczepanowski*: Racyonalizm narodowy. — *Dr. T. Rutowski*: Reforma wyborcza. — Budżet Królestwa Polskiego. I. — *Dr. Kazimierz Twardowski*: Fryderyk Nietzsche. — *Dr. Witold Lewicki*: Francesco Crispi. — *Jan Skrzydłowski*: O ruchu muzycznym we Wiedniu.
- No. 4. Przesilenie w Koalicyi. — *G. Smólski*: Czesko-słowiańska Wystawa etnograficzna. — Budżet Królestwa Polskiego. II. — *Roman Lewandowski*: Salon wiedeński.
- No. 5. Po upadku koalicyi. — *Ks. Dr. Adam Kopyciński*: Jednostka a społeczeństwo. — *Dr. Kazimierz Twardowski*: Monista mistyk. — *Zygmunt Bytkowski*: Maurycy Maeterlinck.
- No. 6. *Dr. Witold Lewicki*: Paszkwilantom. — *Dr. Tadeusz Rutowski*: Fabrykacya opinii krajowej. — *Antoni Fibich*: Ruch chłopski na Mazurach. — *Dr. Zofja D.*: Listy z Niemiec. I.
- No. 7. *St. Szczepanowski*: Sytuacya polityczna w Austrii. — *Dr. August Sokółowski*: Leliwa. — *Zygmunt Bytkowski*: Intérieur.
- No. 8. Dzień Cylei. — *T. R.*: Ministerstwo Madeyskiego. — *Dr. Kazimierz Twardowski*: Kultura etyczua. — *S. Z. Dański*: Kartka z życia umysłowego Poznania.
- No. 9. *Stanisław Szczepanowski*: Nowe kierunki w prasie „postępowej“. — *Dr. Witold Lewicki*: Stambułow. — *Dr. Anna Wyczółkowska*: O psychologii indywidualno-eksperymentalnej. — *Fraszki Rodocia*. — *Roman Lewandowski*: Dr. Oscar Bie i wystawy sztuk pięknych. — *M. Wierzbński*: Z salonu londyńskiego. — *Dr. Zofja D.*: Listy z Niemiec. II.
- No. 10. Pierwszy strzał. — *Jan Sawa*: Sen Jermaka. — *W. Gedrojć*: Wybory w Anglii. — *S. Z. D.*: Listy z Niemiec. III.
- No. 11. *Stanisław Antoni Prus*: Do Redaktora „Przełomu“. — *Dr. Witold Lewicki*: Sejmiki prowincjonalne we Francyi. — *Dr. Kazimierz Twardowski*: Franciszek Brentano a historia filozofii. — *W. Lutosławski*: Tydzień na Oceanie Atlantycznym.

Dla P. T. Duchowieństwa i nauczycielstwa
obniżamy prenumeratę do

połowy

to jest kwartalnie 1 złr. 25 ct., miesięcznie 45 ct.

Numer niniejszy przesyłamy na okaz z prośbą o przysłanie prenumeraty, lub zwrot numeru. Nie zwrócenie numeru uważać będziemy za przystąpienie do prenumeraty.



Wiedeń, dnia 10. sierpnia 1895.



Konfederacya Rzeszowska.

Nie wszystko złoto, co się świeci z góry,
Ani ten śmiały, co się zwierzchnie sroży,
Zewnętrzna postać nie czyni natury,
Wkrada się zjadłość i w kąty spokojne.

Ignacy Krasicki (Monachomachia).

Z Rzeszowa zabłysło nam światło. Tam się urodził związek tej nowej przyszłej partii ludowej, która ma objąć ster spraw publicznych w Galicyi. Pierwszym jej dziełem jest program. Cenny ten dokument polityczny, przerażający nowością program jest poprzedzony tak delikatną analizą dotychczasowych w kraju działających stronnictw politycznych, a zwłaszcza stronnictwa konserwatywnego, że mu się przyjrzeć musimy z uwagą i ścisłością.

Życie polityczne w Galicyi jest słabe, nierozbudzone i niesamoistne. Mijają lata, w których nie mówiąc o warstwach niewykształconych, nawet inteligencya stołeczna sprawami publicznymi mało się zajmuje. Bywają sprawy polityki krajowej, które wśród ogólnej apaty, zupełnego braku zainteresowania się, przechodzą cicho, spokojnie, tu i ówdzie jakiś dzienniczek napisze dytyramb na cześć swego amfitryona, tu i ówdzie inny kuryerek rzuci na publiczne gaudium czyjeś dobre imię, poza tem cisza i cisza. W troskach o chleb powszedni w walce o egzystencyą, w pracy zawodowej na utrzymanie rodziny, kto tam zajmuje się wielką polityką? Nikt nie uczuwa potrzeby rozpraw politycznych. Czasem jakiś dziennik podejmie jakąś sprawę publiczną, ale zazwyczaj złą informacyą, a częściej jeszcze gorszą formą literacką nie zachęca do czytania i tak najważniejszymi sprawami krajowymi, jakimi w zeszłym sześcioleciu

była naprawa skarbu krajowego, konwersya długów, reforma gminy, reforma szkolna, itd. naprawdę szerokie koła inteligencji miejskiej się nie zajmowały. Chyba przy śniadańku, w szyneczku, w którym płynie szampan, zawróci ten i ów rozmowę na politykę.

Odbywa się to zazwyczaj przygodnie *entre poire et fromage*.

Inaczej na wsi. Z nudów, dla zabicia czasu czytają się tam dzienniki całe „od deski do deski“. Wśród utyskiwań na brak dobrego dziennikarstwa czytuje się „takie jakie jest“. O sprawach publicznych jest się poinformowanym źle, jednostronnie, ale się niemi interesuje, myśli się o nich, rozważa się je, mówi się o tem i z sąsiadem przed wistem i u księdza proboszcza po mszy św. i na zebraniu Towarzystwa gospodarskiego okręgowego i po posiedzeniu Wydziału powiatowego. W gruncie rzeczy jednak o życiu politycznem, rozbudzonem i w tych kołach naszej inteligencji nie można mówić na seryo. Tak bywa rok, dwa, tak upływają lata. Ciszę tę polityczną przerywały w ostatnich latach sześciu liczne zebrania robotników fabrycznych, zwolowane przez kilku fachowych agitatorów, na których pełni temperamentu mowcy w służbie nowych idei przewrotu, dobrze zresztą przygotowani — rozdierali sobie gardła za nowym porządkiem rzeczy — robotnicy to mniej więcej skeptycznie przyjmowali do wiadomości i rozchodzili się niedowierzająco. W ostatnich dopiero czasach, kiedy wiedziano, że niebawem nastąpią wybory do Sejmu, zaczęło się coś po kraju ruszać, zaczęły się po okolicach włóczyć jakoweś nieznanne figury, łąziło to po wsiach, zbliżało się to do sekretarza, do pisarza i werbowało to rozmaitych podejrzanym powiatowych krzykaczy i coś o krzywdzie ludu prawił, o tem, że ten lud kochają (oni), a panowie go wyzyskują, że księża wolne życie prowadzą, że o ich głos niech się nikt nie troszczy, że teraz nastał taki czas, że lud wszystkiego dokaże, że „pan cysarz“ sobie tego życzy, żeby się lud z pod opieki panów wydostał, i żeby sam się rzadził, że konstytucya daje ludowi prawa, a panowie i księża je zabrali. I tak od wsi do wsi, od miasteczka do miasteczka na Mazurach idzie wieść, że teraz przysłała konstytucya i że nie trzeba słuchać księdza i pana ze dworu, a za własnym rozumem iść. Z innego tonu rozpoczęto agitacyą na Rusi. Więc się rozpoczynają „wiece“, na które z dalekich stron zjeżdżają zaproszeni panowie z miasta, a czasem to się i sam pan generał pokaże i mówi: „Moi kochani przyjaciele,“ chodzi o wybór na posła, z pomiędzy was wybierajcie, żadnych panów ani księży nie słuchajcie, bo oni mają swój interes, a wy i ja z wami mamy swój interes. Jest na

zebraniu takim ktoś z Rady powiatowej, to się inaczej mówi, a jeżeli nikogo niema, to znów inaczej, wtedy można po szlachcie i konserwatystach i po fałszywych demokracjach pohulać. I tak wiec idzie za wiecem, zjeżdżają się panowie Bączalscy jeden za drugim, uczą lud katechizmu nowego i sieją nową polityczną mądrość.

A wszystko to z czystej miłości dla tego ludu, ne quid respublica capiat detrimenti. Wszystko jak ongi:

Gdzie Bączala? gdzie Babin? lecz nic nie pomoże
I czy najlepsza sauna, czy straszne rozdroże
Pan Bączalski o dobro republiki czuły
Zjeżdża na dzień sejmiku i na kapituły
I na sądy Babińskie strojny i opięty,
Ne quid haec respublica capiat detrimenti.

Ale nie dość za wiecach. Co to wiecie? Co to mowiy? Verba volant, scripta manent. Tu trzeba czegoś na piśmie. Trzeba czegoś trwałego. Trzeba czynu, programu trzeba. Zjechano się tedy do Rzeszowa i radzono. Uradzono tedy, że jak się tam zjechali wszyscy razem, tak zawiązują się w konfederacją pod laską pana marszałka. Konfederacja ta ma na celu przeprowadzenie wyborów do Sejmu i nazywa się: „Centralny komitet przedwyborczy stronnictwa ludowego“.

* * *

Uznajemy wszyscy powagę Sejmu, jedynego Sejmu, jaki na ziemiach polskich dziś się zbiera. Sejm ten bywa najwyższym stróżem i kierownikiem naszych spraw publicznych. Wola Sejmu jest poleceniem dla Delegacji polskiej we Wiedniu. Sejm ten wybiera co 6 lat ze swego łona zawiązek komitetu centralnego do przeprowadzenia wyborów na przyszłe sześciolecie. W tym roku Sejm chcąc, ażeby w łonie komitetu liczniej niż kiedykolwiek reprezentowane były wszystkie odcienie polityczne w kraju, powołał do składu komitetu oprócz przedstawicieli większości sejmowej: konserwatystów krakowskich i podolskich, także i przedstawicieli lewicy sejmowej. Tak dobrze przestrzegano pewnej dyplomacji w tej mierze, że dla zachowania paritatis powołano po 3 członków z lewicy sejmowej do każdego komitetu we Lwowie i w Krakowie. Dziś, kiedy Sejm cesarskim reskryptem z d. 5 sierpnia b. r. został rozwiązany, a wybory na 27. i 30. września i 3. października b. r. rozpisane, Komitet centralny sejmowy rozpoczyna swoją działalność. W tym celu niebawem odbędzie się zjazd delegatów powiatowych z całego kraju, którzy mają dać informacje

co do stawianych lub stawić się mających kandydatur. Można nie pochylać pewnej ociężałości, z jaką dotychczas komitet centralny postępował, można i trzeba domagać się żywszej z jego strony akcji, pewnej rącości w działaniu, ale nie można ani na chwilę powątpiewać, że jak to już stało się tradycją w Galicyi, komitet centralny, jako jedynie legalna i do tego powołana władza zaufania publicznego, wybory do Sejmu przeprowadzi.

Wobec sejmowego centralnego komitetu wyborczego „central. komitet stronnictwa ludowego“ jest wyłamaniem się z pod solidarności narodowej; nie może reprezentować ogółu wyborców, jest organem partii opozycyjnej. Ażeby w biały dzień prawdę odwracać, białe nazywać czarnem, głupie mądrym, sprawiedliwe krzywdą, bezprawie prawem, ażeby domierzyć szczytu naiwności, czy bezczelności, przeżywa się organ, przez legalną reprezentacją całego kraju wybrany, samozwańcym, a dorywczy i bezprawnie na sposób konfederacji narzucony jakiś komitet poczciwców, Bogu ducha winnych, mieni się legalną reprezentacją.

„Aby dokazać swego — powiada proklamacya naiwnego komitetu partii ludowej — koterya konserwatywna przed wpływem kadencji tworzy, a teraz również utworzyła pod postacią „sejmowego komitetu przedwyborczego“, instytut wzajemnej asekuracji mandatów poselskich, a ludowi, który własnym wysiłkiem przy pomocy ludzi dobrej woli, patrzących w przyszłość Ojczyzny, dostąpił pewnego stopnia dojrzałości, który go w zupełności upoważnia do udziału w życiu publicznem i obywatelskiem, odmawia prawa do samodzielnego działania i chce mu narzucić kandydatów pod pozorem, że włościanie nie są żywiołem narodowym i będą „balastem w Sejmie“.

A więc mamy „ludzi dobrej woli“, zacnych Katonów „patrzących w przyszłość Ojczyzny“. Nigdy żadne „liberum veto“ nie pochodziło od głupców, żaden Katylinia nie był bezbożny — zawsze oni windykowali sobie, że „patrzą w przyszłość Ojczyzny“, i że ją widzą lepiej niż prawa, niż cnota i niż uświęcona tradycya. Mamy i nieprawdę.

Bo ileż fałszów w tem jednym zdaniu! Kto, pytamy tych Katonów i kiedy twierdził, że „włościanie nie są żywiołem narodowym“, kto i kiedy sądził, że „będą balastem w Sejmie“?

Jak żeby cała przeszłość nasza, wszystkie usiłowania partyotów nie szły były po temu, ażeby tych włościan wprządz w rydwan narodowy, żeby istotnie byli żywiołem narodowym.

Proklamacya naszych najpoczeiwszych poczeiwców, którym się majaczy, że są partya ludową, poprzedzona jest wywodem statystycznym. Jesito statystyka ad usum Delphini. Język cyfr jest nieublagany, powiada proklamacya. To prawda. Ale trzeba ten język znać, trzeba nim umieć władać, aby go zrozumieć. Tymczasem nasi proklamanci udowodnili, że jak fałszywa history bywa mistrzynią fałszywej polityki, tak fałszywa statystyka jest mistrzynią fałszywego programu.

Proklamacya zestawia dwie cyfry szkół ludowych w r. 1854 było ich 2315 i w r. 1891 kiedy ich było 3859, i z tych dwu cyfr wnioskuje, że stan oświaty w naszym kraju poprawił się. Wcale nie, że się cofnął. Kto temu winien? Oczywiście Sejm, wybierany pod wpływem komitetu centralnego. Te cyfry są prawdziwe. Nawet jeżeli o to idzie, są gorsze, bo w r. 1893 czynnych szkół ludowych było nie 3859, lecz 3812. Ale wnioski, wnioski szanownych proklamantów! Pierwszy wniosek rzucający się w oczy, jest dorobek 1497 szkół ludowych, a nie upadek szkół.

W przedstawieniu cyfrowem stanu oświaty w Galicyi nie można pominąć milezeniem pytania, jakie to były szkoły w epoce biurokratyzmu austriackiego, a jakimi są dziś w zarządzie autonomicznym. Czy doprawdy Volksschullehrer z epoki Bachowskiej jest zupełnie podobny do nauczyciela ludowego, wykształconego w naszych seminaryach i przejętego duchem obywatelskim i narodowym? To raz. Możliwoby także przywieść sobie na pamięć pytanie, jakim był inwentarz szkół w kraju w chwili, kiedy Rada szkolna krajowa odbierała go przed laty 27 z rąk „Schulinspektorów“ i w jakim położeniu finansowem był kraj, kiedy się zabierał do reformy szkoły ludowej — to drugie. Gdyby autorowie proklamacyi zastanowili się byli nad tem bez uprzedzeń pesymistycznych, gdyby sobie przypomnieli, że w r. 1868 Rada szkolna krajowa obejmując zarząd oświaty publicznej w naszym kraju zastała we wszystkich szkołach ludowych 156.015 uczniów i uczennic, a w roku ubiegłym wykazała 563.509 uczniów i uczennic, mogli i powinni byli ocenić niesłychany postęp ostatnich lat, jaki się w tym kierunku dokonał pod wpływem świadomego i energicznego działania Rady szkolnej krajowej i zrozumienia potrzeby oświaty, jakiego Sejm składał tylekrotnie dowody.

Chciałbym te cyfry wrazić w pamięć wyborcy, czy nie-wyborcy, ale każdego zanego Polaka, aby one przemówiły nie suchemi pisma głoskami, lecz obrazem tego trudu, pracy i mozółu społeczeństwa polskiego w Galicyi jeszcze zanim się

znalazło zacne towarzystwo ratunkowe, które się na konfederacyą rzeszowską zjechało.

W r. 1874 było szkół ludowych 2.362, dziś mamy przeszło 3.990, w r. 1874 było nauczycieli i nauczycielek 3.260, dziś 5.900, w r. 1874 kraj wydawał na oświatę nie całe pół miliona złr., dziś wydaje przeszło półtora miliona złr. i będzie umiał w przyszłości wydawać dwa i trzy razy tyle. Tak samo nieprawdą jest, żeby można narzekać na upadek szkół średnich. W szkołach średnich w Galicyi było w r. 1874 uczniów 8.661, dziś jest blisko 15.000, koszt utrzymania tych szkół wynosił w r. 1874 ogółem 470.882 złr., dziś wynosi milion okrągło. Szkół przemysłowych nie było w r. 1874 żadnych, dziś mamy 40 szkół przemysłowych uzupełniających i 30 szkół zawodowych (garncarskich, ślusarskich, stolarskich, tkackich, koronkarskich etc.) utrzymywanych kosztem blisko 200.000. Skarży się proklamacya na utrudnienia w przyjmowaniu uczniów uniwersyteckich, wskutek czego „Rumunia i Bułgaria, któreby mogły dostarczać mnóstwo młodzieży“, nie dostarczają jej. Skąd do programu sejmowego partyi nawet najbardziej radykalnej i ludowej wlaźła „Rumunia i Bułgaria“ to jest już tajemnicą autorów. A cóż mnie Rumunia i Bułgaria obchodzą? Co mnie Hekuba? Następuje cyfrowy wykaz podatków, o ile się podniosły w ostatnim dziesięcioleciu. Ale się przemileża w tym cyfrowym wywodzie, że na cele podniesienia rolnictwa wydał fundusz krajowy w ostatnim dziesięcioleciu blisko 3 miliony, na cele przemysłowe przeszło 1¹/₂ miliona, na melioracye i regulacye rzek w Galicyi 2 miliony, a drugie tyle wydał skarb państwa, na budowę kolei żelaznych 2 miliony, na budowę dróg bitych 17 milionów, a trzy razy tyle wydało państwo na koleje żelazne. Podatki się podniosły — prawda. Ale nie można równocześnie żądać nowych szkół, dróg i kolei i — obniżenia podatków. Albo — albo. I tak bez końca. Trzebaby pisać książki na odparcie lekkomyślnych zarzutów, ciśniętych w tej najnowszej proklamacyi naszych exaltados.

Ale fałsze swego fantastyczno-pesymistycznego obrazowania czuła najlepiej sama redakcyja proklamacyi, skoro w chwili kiedy przyszło wnioski wyciągać z premis statystycznych, pisze:

„Komitet podpisany nie przeczy, iż od początku ery konstytucyjnej reprezentacye nasze krajowe dokładały starań, aby kraj całowiekowem zaniedbaniem rujnowany, wydobyć na poziom rozwoju, ale też z drugiej strony nie podobna zamileżeć, że od czasu jak górę wzięły w Sejmie i w Kole polskiem Rady państwa żywioły konserwatywne, zadowolone ze siebie

i z własnego osobistego położenia, dążenie do poprawy stosunków krajowych i do wytworzenia sił odpowiednich wzmagającym się ciężarom, niesłuchanie zółwim postępuje krokiem, a co smutniejsza, mnogi szereg spraw najdotkliwiej dokuczających ludności, od wielu lat wcale nie może się doczekać załatwienia.“

„Trzydzieści pięć lat życia konstytucyjnego, to zanadto długi okres czasu, aby można cokolwiek usprawiedliwić zastój, a nawet — co gorsza — cofanie się w warunkach rozwoju.“

Po tem cofnięciu się następuje tem silniejszy atak na partję konserwatywną. Piszą mianowicie:

„Górująca i wpływowa w parlamentach partja konserwatywna, zamiast sama przyłożyć rękę do poprawy położenia kraju, dokłada przeciwnie starań do konserwowania nędzy, wysilając się na utrzymanie istniejącego dokuczliwego stanu rzeczy.“

„Niedość partji konserwatywnej, że dzierży mandaty poselskie z kuryi większej posiadłości, ale zdożnemi środkami, korupcją wyborczą, przekupstwem głosów i innymi nadużyciami opanowała ona większość mandatów włościańskich i małomiasteczkowych i sięga nawet po mandaty z miast.“

„Wszelkie od początku ery konstytucyjnej, to jest od roku 1861 na zmianę ordynacyi wyborczej czynione wnioski odrzucała większość sejmowa, a w ostatnich kilku latach uśmiercała je w komisjach, nie dopuszczając nawet do rozpraw.“

„Konieczność zmiany jawnego głosowania na tajne (kartkami), każdy musi uznać, komu znane są przykrości, na jakie wyborcy dziś są narażeni, z powodu swego głosowania. Ale partja konserwatywna opiera się tej ważnej zmianie.“

„Zamiast naturalnej swojskiej gminy, pragnie partja konserwatywna, bądź wskrzesić osławione mandataryaty galicyjskie, bądź na modę rosyjską wprowadzić organizacyę włościaną (okręgi gminne — gminy zbiorowe). Przepisy drogowe i łowieckie, utrzymywane w mocy, mimo corocznych nawoływań do ich zmiany, mają piętno kastowości.“

„Ciężar kwaterunkowy zwalono na gminy, chociaż ustawa państwowa uważa go za obowiązek kraju.“

„Zapomniano zupełnie o ułatwieniach dla wywozu wyrobów przemysłu krajowego za granicę, a w polityce kolejowej zachodzi obawa, by względy egoistyczne i osobiste nie wzięły góry nad interesami publicznymi.“

„Co więcej — konserwatyści galicyjscy zdegradowali Sejm do rzędu obszerniejszej Rady powiatowej. Dawniej bowiem Sejm nasz utrzymywał znaczenie swoje polityczne w państwie adresami do korony, a opinię kraju wyrażał w toku rozprawy adre-

sowej. Od roku 1878 konserwatywna większość sejmowa skazała Sejm samochcąc na milczenie w najważniejszych sprawach państwa i zadawała się uchwalaniem rezolucyj do rządu, z których zaledwo setna część bywa czasem uwzględniana.“

W tej całej litanii grzechów większości sejmowej jest tyle nieprawdy, tyle przesady, tyle braku informacji faktycznych, że przypuszczaćby trzeba, że przy redagowaniu tego pomnikowego pisma nie było starego redaktora, który przecież od tylu lat w Sejmie na ławie sprawozdawcy siedzi i przecież nawet w swem najpocziwszem zaślepieniu wie, co i jak było, a co jest z palca wyssane.

Jakże nazwać zarzut, że partya konserwatywna dąży „do konserwowania nędzy“. Przecież to jest taki oczywisty fałsz, dyktowany do tego złą wolą, bo każdy wie, a jeżeli nie wie, to wiedzieć powinien, że do wszystkich uchwał, o których sama proklamacya na początku mówi, „że od początku ery konstytucyjnej reprezentacye nasze krajowe dokładały starań, aby kraj całowiekowem zaniedbaniem rujnowany wydobyć na poziom rozwoju“, że do każdej takiej uchwały należała większość konserwatywna Sejmu. Jak można jednym tchem wyrzucać takie sprzeczności.

Jak nazwać zarzut, „że partya konserwatywna chce wskrzesić osławione mandataryaty bądź na modę rosyjską wprowadzić organizacyę wołosną?“ Ciskający takie zarzuty poprostu nie mają wyobrażenia o nowożytnem ustroju samorządu gminnego. Trzeba się uczyć, przemiął wiek złoty.

„Ciężar kwaterunkowy zwalono na gminy!“ Nieprawda, § 23 ust. kwat. z r. 1879 wykonano w ten sposób, jak to dla gmin było najkorzystniejszym. Stworzono 2 milionowy przeszło fundusz pożyczkowy i z tego funduszu daje kraj gminom na zażądanie bezprocentowe pożyczki na budowę koszar, spółacalne w 12 latach.

„Zapomniano o ułatwieniach dla wywozu przemysłu krajowego za granicę!“ Co to znaczy ten zarzut? Odkąd to Sejm ma kompetencyę w sprawach cłowych?

I tak bez miary, i tak bez liku. Przesada, nieszczerłość, pretensye — i nieuctwo.

Jeden zarzut jest słuszny. „Wszelkie od początku ery konstytucyjnej na zmianę ordynacyi wyborczej czynione wnioski odrzucała większość sejmowa.“ Dodam, niesłusznie i niepolitycznie było, kiedy dekompletowano Izbę, aby nie uchwalić pomnożenia posłów miejskich.

To był błąd. On się dziś mści. Błąd ten musi być szczerze i zupełnie naprawiony.

Następuje program. Uśmiech politowania wybiega na usta, kiedy się czyta tych 21 „nastawań,” „nagleń,” „przyspieszań,” „dopilnowań” itp. Nowa partya polityczna, która idzie do boju ze wszystkiem, co w tem kraju uświęciła tradycya, niema nic więcej do wywieszenia na swym sztandarze jak tylko: „nastawać, naglić, przyspieszyć, dopilnować” i t. p. Ależ to jest biurokratyczny program „urgensów”. Cóż to posłowie mają być nastawnikami z harapem, żeby mieli „nastawać” i „dopilnować”? Ależ oto i program najdosłowniej podajemy:

„1. Przywrócić i na przyszłość zachować Sejmowi Galicyi znaczenie czynnika politycznego wobec państwa;

„2. Czuwać nad ścisłym wykonaniem ustaw, zastrzegających swobodę prasy, stowarzyszeń i zgromadzeń, a nadużycia pod tym względem usuwać, niemniej chronić lud od wszelkich innych nadużyć, nastając na to, aby winni byli pociągani do odpowiedzialności;

„3. Mając na oku konieczność zaprowadzenia powszechnego prawa głosowania i utworzenia drogi dla tej doniosłej reformy — dążyć z całym naciskiem do zmiany sejmowej ordynacyi wyborczej w duchu równości obywatelskiej, mianowicie w kierunku rozszerzenia prawa wyborczego i zaprowadzenia głosowania bezpośredniego przez skasowanie prawa wyborów w kuryi wiejskiej i zaprowadzenia tajnego głosowania we wszystkich kuryach — jakoteż w kierunku sprawiedliwego rozkładu mandatów poselskich na poszczególne kurye;

„4. Dążyć do równomiernego rozkładu ciężarów publicznych, a w szczególności do ulg dla rolnictwa, przemysłu i rzemiosł;

„5. Starać się przeprowadzić reformę gminną w kierunku zniesienia kół wyborczych i skojarzenia obszarów dworskich z gminami;

„6. Wyjednać dla gmin szluszne wynagrodzenie ze skarbu państwa za sprawowanie poruczonego im zakresu działania;

„7. Popierać oświatę — przez mnożenie liczby szkół ludowych (średnich kosztem skarbu państwa), polepszenie bytu nauczycieli ludowych, a ułatwienie młodzieży dostępu i uczęszczania do szkół średnich przez zmianę utrudniających w tym względzie przepisów organizacyjnych szkolnictwa ludowego, obniżenie czesnego i zniesienie przymusowego umundorowania. Zarazem popierać oświatę fachową przez odpowiednią organizację szkół przemysłowych i rolniczych.

Czynić wogóle wszystko, co oświatę publiczną ułatwia, a nie utrudnia.

„8. Domagać się uproszczenia sądownictwa w sprawach spornych i niespornych, i zniesienia uciążliwych opłat do wymiaru sprawiedliwości przywiązanych, n. p. taks za doręczanie pism sądowych i t. d.;

„9. Nastawać z wytrwałością aż do skutku, aby sprawa regulacji rzek, zabudowań potoków górskich i zalesień, była w jak najkrótszym czasie załatwioną;

„10. Domagać się zmiany ustawy kościelno-konkurencyjnej, aby osady mające kościoły (cerkwie) filialne, nie potrzebowały ponosić wydatków na kościoły macierzyste, tudzież, aby parafianie nie byli obowiązani stawiać i naprawiać budynków plebańskich i wogóle, aby były usunięte niesłuszności dotychczasowych przepisów;

„11. Przyspieszyć zmianę ustawy drogowej w tym kierunku, aby ciężar budowy i utrzymania dróg był rozłożony według stopy podatkowej, ze skasowaniem myt;

„12. Dopilnować ustalenia ustawy łowieckiej takiej, iżby gminy i przynależni gmin nie byli obowiązani darmo hodować zwierzynę dla fantazyi myśliwców z krzywdą gospodarstw własnych i własnego bezpieczeństwa;

„13. W interesie rękodzielnictwa upominać się o wydanie ustawy przemysłowej, któraby chroniła drobny przemysł przed nawałą szalbierczych przedsiębiorstw fabrycznych ze szkodą publiczności, a przemysł domowy od ucisku fiskalnego;

„14. Starać się o tępienie lichwy i organizację kredytu dla drobnego rolnika i przemysłowca;

„15. Pilnować, aby wszelkie dostawy dla wojska i zakładów publicznych, o ile na to produkeya krajowa pozwala, były uskuteczniiane w kraju i bezpośrednio u producentów, a przy przedsiębiorstwach publicznych, aby uwzględniano przede wszystkim lud pracujący (n. p. przy dostawach szutru na drogi i t. p.);

„16. Domagać się rozkładu ciężarów kwaterunkowych na cały kraj, jakto przepisuje ustawa państwowa;

„17. Naglić na rychłe zaprowadzenie krajowych przytulisk dla kalek i starców, domów przymusowej pracy i kolonij karnych, tudzież używanie więźniów kryminalnych do większych robót publicznych;

„18. W sprawie budowy kolei lokalnych baczyć na to, aby je uskuteczniiano krajowymi siłami technicznymi, aby języki krajowe były zastrzeżone w ich zarządzie, aby tras tych kolei nie przystosowywano li do interesu protegowanych jednostek, a w szczególności starano się uwzględniać okolice przemysłowe

i zdrojowiska. Taryfy na kolejach wogóle powinny również odpowiadać interesom kraju;

„19. Wejrzeć w politykę cłową państwa, by wyrobom przemysłu krajowego zapewniony mógł być odbyć na Wschodzie;

„20. Przyspieszyć organizację obrony od pożarów z równoczesnem utworzeniem krajowego funduszu pożyczkowego na przyrządy ogniowe dla gmin i zaprowadzeniem przymusu asekuracyjnego;

„21. Wyjędnać szczerze zaopiekowanie się sprawą emigracji ludu, która dziś przybrała postać odmienną od tej, jaką miała emigracja dotychczasowa z zachodu Galicyi, bo tam emigranci wracali i wracają na zagon rodzinny, a teraz całe rodziny po pozbyciu się własności wychodzą na zawsze z kraju.“

Ależ na to Boga, to nie jest żaden program polityczny — to nie jest program ani ludowy, ani radykalny, ani liberalny, ani konserwatywny, to jest program naiwności politycznej.

Ależ nastawajcie, naglijcie, pilnujcie, przyspieszajcie, „ur-gujcie,“ ile wam się podoba, ale nie sądzicie, żeby to był program, który usprawiedliwiałby powstanie nowej partii w kraju.

Toż to jest najwyższy szczyt bezbarwności politycznej.

Proszę przeczytać program Związku chłopskiego, tam jest rozum, jest myśl polityczna, jest sens. Proszę przeczytać program socyalistów, toż to jest nieprzyjaciel, z którym trzeba walczyć i dobrze się brać w kupę, aby im czoło stawić, ale tam jest idea, jest myśl głęboka, chociaż dla nas zgubna i nie można tak bardzo jej zbywać, tylko się trzeba dobrze uzbroić, aby stanąć do walki.

Ale wy z waszem „nastawajcie, pilnujcie“, wy jesteście epigony wszystkich partyj. Program ludowy rzeszowski nie jest programem dość postępowym, jest ciasny i bezpolityczny jest plagiatem dotychczasowych programów.

Istniejącym stronnictwom nie można było oddać większej usługi, jak przedstawiając program odgrzewanych żądań. Wszystkie te żądania były już tylekrotnie wypowiedane, są tak ograne na wszystkie tony. Ani jednej myśli nowej, rdzeń i treść waszego programu bardzo jasno daje się wyrazić krótko, na to nie potrzeba było 21 urgensów, wystarczy powiedzieć: ôte-toi de là que je m'y mette. „Ustąpcie się, bo nam spieszy.“

Jakież stanowisko zajęto wobec reformy wyborczej?

Owi, którzy z emfazą i z dumą głosili się, jako zapasnicy równego, bezpośredniego, powszechnego głosowania, godzą się

dziś na zaprowadzenie głosowania bezpośredniego przez skasowanie prawyborów w kurii wiejskiej. Ależ nad tem pracowała sejmowa lewica w Radzie państwa, na to godzi się część skrzydła konserwatywnego, godzi się prof. Milewski, godzi się prof. Straszewski, godzi się X. Kopyciński. Ale wy? Przecież to wy walczyliście z całym Kołem polskiem za równem, bezpośredniem i powszechnem prawem głosowania? Gdzie wasza konsekwencya, gdzie odwaga, gdzie wasze „najgłębsze przekonanie“?

Jakże wy dziś przyświadczacie powszechnemu głosowaniu? „Mając na oku konieczność zaprowadzenia powszechnego głosowania i utworzenia drogi dla tej doniosłej reformy — jesteśmy za utrzymaniem całego dzisiejszego stanu, tylko za zniesieniem prawyborów. „To mając na oku“ jest nieocenione! Wczoraj mieliście to na sercu, dziś macie na oku, jutro będziecie mieli w uchu, a pojutrze . . .? — To jest kapitulacya. To jest smutny upadek. To jest fiasko.

Na toż to było trzeba robić tyle hałasu, tyle wrzawy gwaru, wzbijać tumany pyłu ulicznego, sypać góry piasków lotnych w oczy naiwnym poczciwcom, rozwydrzać opinię, podżegać namiętności ludzkie ku uciesze i gaudium wrogów naszych dawać sposobność „Neue Fr. Presse“, bo wyrzucała z radością jadowite strzały na społeczeństwo polskie, na rządy Polaków w Galicyi“, na ucisk chłopca — na toż to było wywoływać te upiory nienawiści, aby na końcu nędzę własnego ducha ukrywać w wyszarzałe łachmany, zszyte ze sztandarów wszystkich stronnictw w kraju?



Prof. T. H. Huxley.

(Wspomnienie pośmiertne).

Świetny i potężny pionier światła zgasł w osobie Tomasza Henryka Huxley'a, który zeszedł z tego świata w końcu czerwca w Eastbourne, w Anglii. W ciągu ostatnich miesięcy stan jego zdrowia pogarszał się i poważne budził obawy. Zgon jego zatem nie przyszedł nieoczekiwanie, mimoto wszakże wieść żałobna wielkie zrobiła wrażenie, bo zmarły profesor zajmował szczególnie wybitne stanowisko w szeregu znakomitości, uświetniających szczęśliwą erę królowej Wiktoryi. Nie często bowiem da się znaleźć w jednej osobie trafnego obserwatora i znawcę tajników natury, oraz niezrównanego niemal tłumacza tychże profanom. Pod obu względami mąż nauki, którego śmierć oplakuje Anglia, był wyjątkowo uzdolnionym, lecz bez wątpienia głębiej jeszcze zapisał się w pamięci społeczności, dzięki sile charakteryzującej jego pisma — jak np. „Swieckie kazania i odezwy“ (Lay Sermons and' Adresses) — aniżeli swym dorobkiem do ogólnej sumy ścisłej i systematycznej wiedzy. Wprawdzie w naturze niema nic bezwartościowego; potęgę swą zdradza ona zarówno w drobiazgach, jak w wielkich odłamach, atoli tem wyżej cenić trzeba umysły, które zdolne są szczegółowe badania eksperta oświetlić filozoficznym światopoglądem. Takim był profesor Huxley. Świat utracił w nim nietylko zoologa i wogóle naturalistę, lecz świetnego pisarza, nieustraszonego krytyka i głębokiego filozofa.

Huxley urodził się dnia 4. maja 1825 roku w Ealing, pod Londynem. Z swej epoki niemowlęcej zapisuje zmarły uczoney szczegół wyjaśniający, jakiej okoliczności przypisać trzeba, że nie posiadał pewnej na drodze żywota daleko wiodącej właściwości pióra. Da on nam pewne wyobrażenie o jego sposobie pisania. Otóż miesiąc maj tegoż roku był niezwykle gorący i gdy otworzono okno dziecinnego pokoju, rój pszczoł począł krążyć wokoło ku przerażeniu piastunki, która szybko zapuściła szybę. „Gdyby dobrze myśląca ta niewiasta — pisze Huxley — była powstrzy-

nywała się od niewczesnego przeszkodzenia owadom, niezawodnie rój byłby wtargnął do wnętrza pokoju i osiadł na mych wargach, aby wyposażyć mnie ową miodową swadą, która w tym kraju wiedzie dalej i wyżej niż zasługa, talent i uczciwość — do najwyższych stanowisk w hierarchii kościelnej i państwowej. Lecz los pozbawił mnie tego szczęścia i ot musiałem poprzestać w życiu na mówieniu poprostu tego co myślę, a bodaj czy jest właściwość dla karyery szkodliwsza“.

Ojciec Huxley'a był nauczycielem w pomienionej miejscowości. Jak wielu innych wielkich ludzi jednak, Huxley przypisywał wszystkie swe cechy charakterystyczne swej matce, uważając siebie za wierny jej portret pod względem duchowym i fizycznym, po ojcu odziedziczywszy tylko żywy temperament i pewną dozę energii, którą „nieprzychylni jego krytycy zwali uporem“.

Całą swą wiedzę zawdzięczał Huxley samemu sobie, nie różniąc się w tem od wielu innych sławnych uczonych angielskich. Nie żałował nigdy, że okres jego szkolny był krótkim, bo „koło, w które się dostał w szkole, było najgorszem, jakie znał“. Porzućwszy ten przybytek, chciał się poświęcić mechanice i mimo, że wnet wstąpił na wydział medyczny, skłonności w tym kierunku towarzyszyły mu długo. Studya medyczne nie zdołały zająć go żywiej z wyjątkiem fizjologii, „mechanicznego ustroju ludzkich maszyn“. Dziwnie brzmi w ustach późniejszego naturalisty i biologa następujące wyznanie: wydaje mi się, że niema we mnie wielkiego materiału — na naturalistę; nigdy nie posiadałem żadnych kolekcij i podobne zajęcia były dla mnie ciężarem. Architektoniczna i mechaniczna część mych prac naukowych, miała wyłącznie dla mnie urok, tak jak wyswietlanie tej przedziwnej jedności, którą dostrzegamy w podwalinach tysięcy istot“.

Ukończywszy studya medyczne w r. 1846, Huxley zajmował się przeważnie fizjologią, podlegając wpływowi sir John'a Richardson'a, naturalisty i podróżnika do bieguna północnego. Zachęcony jego przykładem młody uczony udał się jako lekarz asystent w daleką podróż na statku państwowym, który miał na celu zbadać części morza pomiędzy rafią Barrier'a, na wschodzie australskiego lądu stałego położoną, a Nową Gwineę i archipelagiem Luizjady. Czteroletnia ta ekspedycja wywarła na jego karierę wpływ decydujący i otworzyła mu drogę do sławy. Oddawał się bowiem gorliwym badaniom żyjatek zaludniających głębiny dalekiego oceanu, a owoc tej pracy zjednał mu uznanie naukowego świata. Chcąc wyłącznie żyć dla nauki, podał się do dymisji i w r. 1854 został mianowany profesorem historii naturalnej i paleontologii w kr. szkole min, oraz kuratorem muzeum praktycznej geologii. Odtąd spadały nań urzędy i stanowiska w różnych ciałach

naukowych. W tej epoce ogłosił rozprawę z swym dozgonnym przyjacielem, prof. Tyndall'em opracowaną, p. t. „Spostrzeżenia nad lodowcami“, która była owocem wspólnej wycieczki do Szwajcaryi.

Szczególną zmarłego zasługą było, iż więcej niż ktobądź przyczynił się do rozpowszechnienia biologicznego prawa ewolucyi. Było to w r. 1858, gdy Karol Darwin i niezależnie od niego Alfred Russel Wallace postawili słynną teorią „naturalnego doboru“, a w ślad za nią ukazało się wiekopomne dzieło Darwina o „pochodzeniu gatunków“. Rozumowania i konkluzye genialnego naturalisty wycisnęły na umyśle Huxley'a niezatarte znamię. Trudno bodaj wyobrazić sobie, jaki spowodowała przewrót w światopoglądzie ta nowa doktryna; w oczach większości teologów była bluźnierczą, uczonym zdała się być zrazu mamidłem zwodniczem. Francuscy uaturaliści, z Owen'em na czele, nie chcieli o niej słyszeć. Zaledwie garstka angielskich uczonych zgodziła się na nią; w rzedzie tychże zaś figurował Huxley. Obecnie wszyscy mniej lub więcej jesteśmy ewolucjonistami i trudno o wykształconego człowieka, któryby nie był zdania, że współczesne gatunki zwierząt są produktami dawniejszych gatunków, a te znowu pochodzą od gatunków pierwotnych zwierząt w pokładach ziemnych pograżonych. Trzydzieści sześć lat temu atoli rzecz miała się inaczej i naówczas, gdy nową doktrynę przyjmowano uszczypliwemi wycieczkami, Huxley stał w szeregu obrońców i pionierów na naczelnem miejscu. Do tej samej, co Darwin i Wallace konkluzyi, doszedł Herbert Spencer, stawiając hipotezę, że najzdolniejsze tylko osobniki utrzymują się przy życiu w walce o byt, a tej angielskiej teorii zapewnił wszechświatowy rozgłos, dzięki literackiemu talentowi — zmarły fizyolog.

Główną zaporą, która kładła się kamieniem na drodze do przyjęcia poglądu Darwina, było twierdzenie, że człowiek sam jest przetworem zwierzęcia niższego gatunku. Ani Darwin, ani Huxley nie cofnęli się przed tą logiczną dedukcją, podczas gdy świat ówczesny protestował. Nie zbudowany małodusznością pisarzy, wyrzekł Huxley, że „logiczne konsekweneye są straszdyłem na szpaki (fools), a alarmem pożarnym dla mądrych“. Gdy w r. 1860 miał on wygłosić szereg prelekcij dla robotników, obrał sobie za temat palącą wówczas kwestyą o stosunku człowieka do zwierząt niższych, a poglądy swe o tej arcyważnej materji złożył w swej książce p. t. „Stanowisko człowieka w naturze“. Już okładka dzieła wzbudziła żywy interes seryą szkieletów, począwszy od okazów kocich, orangutanów, szympansów i goryli do szkieletu człowieka. Za pomocą tego zestawienia wykazał Huxley dobitnie zdumiewającą analogię pomiędzy królem wszechstworzenia, a jego czwororamiennymi towarzyszami. Co się tyczy różnicy pomiędzy intelektem człowieka

i małpy, dowodzi Huxley, że nie jest ona tak wielką, jak pomiędzy intelektem człowieka kultury, a umysłem istoty w stanie dzikim żyjącej. Zresztą ten sam organ jest siedliskiem myśli u zwierząt, zarówno jak ludzi. W życiorysie Hume'go („Angielscy literaci“) takie czytamy zdanie: „te same powody, które skłaniają nas do mniemania, że przeobrażenia w normalnej substancji mózgowej człowieka wywołują stan świadomości, dadzą się zastosować na dowód tego, że prawidłowe funkcjonowanie substancji mózgowej małpy lub psa wywołują podobny skutek“. Takie i tym podobne rozumowania dały pochoch do poszukiwań pokrewnych punktów w ustroju organicznym pierwotnego człowieka i homo sapiens, albo innymi słowy małpy i twórcy Hamleta. Opierając się na tem, że rodowód konia da się wyprowadzić od tapira do pełnej krwi konia, pisze Huxley, że uważa za zupełnie przez analogią uprawnioną konkluzję, że prędzej, czy później wyśledzimy prototyp człowieka.

Huxley był ojcem określenia: agnostyk. Ciekawą o tem robi wzmiankę: „pojąłem wcześniej, że w oczach ogółu jest jednym z najcięższych grzechów, gdy nie przylepiamy na siebie etykiety. Publiczność bowiem patrzy się na takiego człowieka, jak policja na psa bez kagańca, który nie podlega dostatecznej kontroli. Niestety nie mogłem znaleźć dla siebie odpowiedniej etykiety i dlatego, ożywiony pragnieniem zaciągnięcia się w szeregi ludzi porządných, stworzyłem sobie godło. A ponieważ nie znałem wielu rzeczy wbrew twierdzeniom krytyków, zdobiących mnie przeróżnemi mianami, nazwałem się agnostykiem. Żadna etykieta nie może być skromniejszą, ani stosowniejszą. Nie mogę też pojąć, dlaczego od czasu do czasu wydobywają mnie ludzie z mego ustronia agnostycyzmu, zwąc materyalistą, to znowu ateistą, lub pozytywistą, a nawet — o dziwo! — trwożliwym i wstecznym obskurantem“.

Argumentacja Huxley'a prowadzi nieodzownie do materyalizmu, lecz fizyolog cofał się od jego wrót, sądząc, że „materyalizm tak, jak on go pojmował, jest filozoficznym błędem“. Niemniej wzbraniał się być policzonym do fatalistów, bo „konceptcja konieczności miała dlań logiczną, a nie fizyczną podwalinę“. „Nie jestem materyalistą — pisze on o sobie — bo zupełnie nie jestem w stanie pojąć istnienia materyi, jeżeli nie za pomocą umysłu, któryby mi tę materję odmalował; nie jestem również ateistą, bo problemat ostatecznego powodu wszechistnienia jest dla mych niedołężnych władz duchowych niepodobnym do zgłębienia. Z pomiędzy bezsensownych druków, które miałem sposobność czytać, najgorszemi byłyby objaśnienia filozofów, którzy opisują nam dokładnie naturę Boga, gdyby nie prześcigały ich jeszcze większe nonsensy filozofów, usiłujących dowieść nieistnienia bóstwa“.

Naturalnie poglądy Huxley'a wywoływały opozycję w różnych obozach i tak przyszło do starcia pomiędzy nim, a Gladstone'm o potop; z Dr. Wase'm polemizował on o agnostycyzm i z księciem Argyll o pseudowiedzę. Ciekawe te artykuły wyszły drukiem w „Essay'ach o niektórych kwestyach spornych“. Huxley uznawał ogromny wpływ pisma świętego nie na rozum, lecz na etyczne pojęcia ludzkości. Wprawdzie według jego zdania ideały biblijne potrzebowałyby dopełnień, lecz „rasa ludzka nie jest dotąd jeszcze — i może nigdy nie będzie — w tem położeniu, aby się mogła bez nich obejść“.

Erudycja, jasność i ścisłość myśli, oraz śmiały i w jądro rzeczy godzący sposób pisania, czyniły z zmarłego agnostyka niebezpiecznego wroga. Te właściwości też, a zwłaszcza piękność stylu, którego mu zazdrościł Darwin, stworzyły z niego pomnikową postać w świecie nauki, w daleko większym stopniu, niż ściśle dowiadcznienia, obserwacje i epokowe uogólnienia. Nigdy filozof nie zaprzepaszczał się w badaczu natury, a pewien metafizyczny nastrój umysłu towarzyszył mu od lat dzieciennych. Jako chłopiec posiadał już „przewrotną tendencję do zagłębiania się w krainę dociekań“ i zamiast bawić się z rówienikami, zastanawiał się np. nad tak potwornem zagadnieniem, jak „co stałoby się z rzeczami, gdyby pozabawiono je ich przyrodzonych właściwości“. Jak wielkim szacunkiem otaczało go społeczeństwo, da nam wyobrażenie krok księcia Westminstern, który oświadczył się gotowym ofiarować znaczną datkę na reformę socyalną, przedłożoną przez generała Booth'a, naczelnika Armii Zbawienia, jeżeli projekt ten znajdzie uznanie prof. Huxley'a. Lecz zmarły agnostyk nieprzychylnie zajmował stanowisko wobec działalności filantropijno-religijnej Armii Zbawienia. Nie mniej wrogo był usposobionym przeciwko socyalizmowi. Przyszedł bowiem do przekonania, że dogmaty socyalizmu stoją w sprzeczności z naturą ludzką, aczkolwiek z swej strony nie znalazł nic, coby je mogło zastąpić; wychodził bowiem z założenia, że „ludzkość może znaleźć ulgę na swe rany jedynie w szczerości (veracity) myśli i czynu, oraz w śmiałym poglądzie na świat, jakim jest; gdy opadnie osłona kunsztownie wpojonych wierzeń, któremi pobożne ręce zakrywają wstrętne i odpychające rysy ludzkości“.

Ostatnie lat dziesięć przeżył Huxley w odosobnieniu, skutkiem nadwątlonego zdrowia usunąwszy się z swych posad honorowych i publicznych. Pisywał wszakże rozprawy do wielu czasopism. Tytuł członka korespondenta francuskiej akademii nauk przypadł

mu w udziale w roku 1879 za prace zoologiczne i anatomiczne. Inne przedniejsze instytucje naukowe w Europie i Stanach Zjednoczonych nie ociagały się z trybutami uznania, a ukoronowaniem niejako było powołanie go do prywatnej rady królowej w roku 1892, w której skład wchodzi najznakomitsi synowie Anglii. W istocie więcej niż ktobądź z współczesnych przyczynił się on do wywalczenia obywatelstwa pogładowi na świat z puuktu widzenia zdrowego rozsądku, a pod świetnem jego piórem historia bryłki kredy stawała się tak zajmującą, jak powieść. Z pewnością dość ma ludzkość uczonych dawnego stempla, którzy odziewają swe prace w niesmaczny strój pretensjonalno-pedagogiczny i, jak mówi Goethe, „dzierżą w ręku cząstki, nie posiadając duchowej ich spójni“, lecz nigdy świat nie będzie miał za wielu — Huxley'ów.

Londyn 4. sierpnia 1895.

M. Wierzbński.



Tydzień na Oceanie Atlantyckim.

(Ciąg dalszy.)

Myślałem, że pani Besant wywoła kilka mahatmów na świadków, że zreżunie da nam próbkę jakiego cudu, dowodzącego istnienia czwartego wymiaru przestrzeni, lub że opowie nam coś o swych minionych i przeszłych wcieleniach. Ale doznałem zupełnego zawodu. Pani Besant wygłosiła poprostu dwa bardzo piękne i wymowne kazania na temat miłości bliźniego, dowodząc, że obecnie źle jest na świecie i że powinniśmy wszyscy połączyć nasze usiłowania, aby było lepiej. Obsypało ją za to zasłużonymi oklaskami, ale o teozofii i budyźmie od pani Besant nic się nie dowiedziano. Gdym jej potem wyraził moje zdziwienie i zwrócił jej uwagę na to, że wszystko to, co powiedziała, mogłoby być w zupełności przyjętem i uznanem przez każdego chrześcijańskiego kapłana, że zatem nie zachodzi żadna potrzeba powoływania się na teozofię, gdy się wygłasza jedynie piękne i dawne chrześcijańskie prawdy — pani Besant odrzekła, że w tak krótkich odczytach (każdy z nich trwał po półtora godziny) nie można przedstawiać tak wielkich i zawitych spraw, jak tajemna nauka budyźmu i że dlatego wybrała dla swych odczytów kwestye ogólniejszej doniosłości, przystępne dla szerszego cgółu. Pomimo nalegania mego, aby choć w osobistej i poufnej rozmowie z miłośnikiem prawdy zechciała uzasadnić część tych tajemnic tak wielkiej wagi, nie nie wskórałem, bo pani Besant dała mi do zrozumienia, że jako logik i psycholog mam umysł spaczony i nie zdolny do uchwycenia wyższych duchowych tajemnic.

Angloamerykanie myślą nietylko o wydoskonaleniu dusz, także bardzo żywo się zajmują kwestyą udoskonalenia ciał ludzkich — i traf zetknął mnie na pokładzie statku „Paris“ z dwoma przedstawicielami nowej ewangelii dyety, dotąd prawdopodobnie w Polsce nie znanej, a liczącej w Anglii i Ameryce już wielu zwolenników.

Zauważyłem dwóch pasażerów o dziwnie łagodnym wyrazie twarzy, prawie zawsze pozostających na pokładzie i nigdy nie biorących udziału w gastronomicznych naszych ćwiczeniach, mających miejsce przy śniadaniu, obiedzie i kolacji.

Zawiązanie znajomości na statku bardzo łatwe. Więc wkrótce się dowiedziałem, że starszy z tych dwóch higienistów nazywał się Manning i był F. R. B. S. (członkiem królewskiego botanicznego towarzystwa w Londynie) oraz autorem licznych prac w zakresie botaniki i ogrodnictwa, i że od kilkunastu lat nie jadł mięsa, a od kilku lat wyrzekł się także chleba, kaszy i jarzyn. Czyli że dawniej był wegetaryaninem — później zaś wyższy stopień doskonałości osiągnął, stawszy się jedynie owocojadem. Teraz jechał na kongres ogrodnictwa do Chicago i wioził ze sobą wielką ilość broszur, dowodzących, że dobry dobór owoców, w połączeniu z różnemi gatunkami orzechów, z mlekiem i serem, stanowią zupełnie wystarczające pożywienie dla człowieka. Jarzyny, chleb i wogóle wszystko, co zawiera mączkę, uważają ci panowie za bardzo szkodliwe, przyczem opierają się na różnych doświadczeniach, analizach i rozumowaniach, kładą nacisk na powszechnie znany fakt, że mączki pokarmy nie mogą być asymilowane przez organizm ludzki, muszą uleść ekonomicznej przemianie, wskutek której powstają z nich różne gatunki cukru. Operacja ta wymaga czasu i pochłania pewną ilość sił organizmu nie potrzebnie, gdyż taka sama przemiana ciągle poza organizmem naszym się odbywa przy dojrzewaniu owoców. Więc korzystniej jest pozostawić roślinom tę pracę i korzystać z jej wyniku. Oprócz tego jeszcze inne argumenty p. Manning przytaczał przeciwko pokarmom mącznym. Twierdził, że trawienie ich nigdy nie jest zupełne i że znaczna część krochmalu nie zmienionego na cukier przenika nasze ciało, zatyka i zakleja potrzebne nam kanały przemiany materii i w ten sposób zużywa organizm, sprowadzając przedwczesną starość. A że Anglik nigdy nie gardzi świadectwem Biblii, gdy może je przytoczyć na poparcie jakiego zdania, więc p. Manning zwycięsko dowodził, że pierwsi ludzie, jak świadczy Biblia, właśnie dlatego żyli po kilkaset lat, że jeszcze nie wymyślili uprawy zboża i karmili się przeważnie dojrzałymi owocami, których w raju mieli wielką ilość. Dopiero gdy wskutek grzechu pierworodnego wygnani zostali z tego najstarszego ogrodu, nie mając dosyć owoców, wędrując przez ziemniejsze sfery, zaczęli sztucznie rozwijać nasienia pewnych traw, tak aby z nich otrzymać współczesne gatunki zboża. Dziś dzięki swej wiedzy botanicznej ludzie prawie w każdym klimacie mogliby produkować owoce i wcale nie potrzebują pól zasianych

zbożem, tylko powinni zmienić je na ogrody pełne śliwek, gruszek, jabłek, orzechów, a w cieniu tych drzew paść tłuste krowy, wyrabiać różne sery i masło. Zapytałem z czym masło będziemy jedli, skoro chleb wykluczemy z naszego pożywienia, p. Manning przekonująco odrzekł, że świeże masło z orzechami stanowi wyśmienity przysmak. Ale korzystając z tego, że na Biblii opierał swe wywody, zrobiłem mu zarzut, że teoria jego w jasnej stoi sprzeczności z nowym testamentem, gdyż wyraźnie Chrystus każe nam się modlić o chleb powszedni. Na to odparł słusznie, że w tekście greckim użyty wyraz trofe ma ogólniejsze znaczenie, a zresztą Chrystus stosował się do pojęć i obyczajów owego czasu — dziś zaś zalecałby modlitwę o owoce i orzechy.

P. Manning, jeśli mu wierzyć, że ściśle trzyma się swych zasad, własnym swem zdrowiem i dobrym wyglądem może służyć za żywe świadectwo doniosłości teorii owocoadów. Ale i z innej strony, niezależnie od naukowego uzasadnienia tej teorii, owocozęrstwo na większą uwagę zasługuje, niż inne różne zalecane jako jedyne metody, kuracje i higieniczne przepisy. Choć vegetaryanizm istnieje od kilkudziesięciu lat, nie jest on w stanie dokonać takiego przewrotu w obyczajach i w społecznym życiu, jak dyeta owocowo-orzechowa. Dyeta ta, gdyby w istocie się okazała dobrą, zdrową i dostępną dla wielkich mas ludności, mogłaby mieć tak wielką doniosłość moralną, jakiej vegetaryanizm niema. Proszę sobie wyobrazić, jakby świat wyglądał, gdyby zeń usunąć kuchnie, kucharki, swądy, szlachtuzy, piekarnie! Ile czasu byśmy zyskali, ile przyczyn złego humoru byśmy stracili! Jak dalece łatwiej możnaby się obchodzić bez służby, o ile mniej zachodu sprawiałoby prowadzenie gospodarstwa, o ile łatwiej i taniej możnaby przyjmować gości, o ile mniej okazji mielibyśmy do obżarstwa i łakomstwa, jedząc zawsze jednostajne produkty natury, bez żadnych sztucznych przypraw. Ta sama powierzchnia gruntu, na której dziś rośnie zboże lub pasie się bydło dla zadowolenia apetytu 100 osób, mogłaby dostarczyć orzechów, jabłek, śliwek, sera i mleka dla 200 lub więcej osób. Uprawa roli wymagałaby mniej mechanicznej pracy, a za to znacznie więcej wiedzy i umiejętności. Nasi rolnicy stali by się wysoce wykształconymi przyrodnikami i daliby nam pożywienie dla znacznie większej ludności, niż dzisiejsze rolnictwo dać jest w stanie. A pod względem estetycznym, czyż nie piękniej wygląda pełna ogródów owocowych okolica Meranu, niż nasze wielkie pola żyta i pszenicy? Większa ilość drzew starannie utrzymanych, dających dużo cienia, ułatwiałaby więcej równomierny rozkład wilgoci gruntu i miałaby wpływ na ko-

rzystną zmianę klimatu, tak jak trzebieenie lasów wywarło wpływ szkodliwy.

Wobec tych wszystkich tak pięknych nadziei, nie mogłem się oprzeć wymowie p. Manninga i przyrzekłem mu, że przez kilka tygodni jego dyetę wypróbuję. Łatwo to uczynić w Ameryce, gdzie taka obfitość owoców panuje. Szczególniej myśl o usunięciu z powierzchni ziemi kuchni i kucharek jest ołśniewająca. Któż bowiem więcej się przyczynia do psucia nam dobrego humoru, jak kucharki?

Dzięki licznym kłopotom, wynikającym z obyczaju gotowania jedzenia, żony nasze i córki nie mają czasu na czynniejszy udział w naszych pracach i ograniczają horyzont swych myśli. Gościnność jest utrudniona i w zwykłych warunkach nie możemy zapraszać wielu gości bez kosztownych i uciążliwych przygotowań. Sztuka kucharska stawia mur nieprzeparty między kuchnią bogatych i ubogich. Inaczej całkiem u owocojadów: najbiedniejszy człowiek może wyhodować piękny owoc, który zadowolni najwrażliwsze podniebienie bogatego smakosza.

Więc jeśli owocojadzi mają rację, to ich nauka miałyby wpływ nie tylko higieniczny, ale też wpływ moralny i społeczny. Wiele jeszcze innych argumentów wygłaszał wobec słuchających go pasażerów p. Manning — i przekonał wielu, bo mówił istotnie bardzo wymownie. Dowodził, że najpodobniejszy do człowieka małpy przeważnie żywią się owocami i orzechami, co jednak im nie przeszkadza z wielką siłą, zręcznością i wytrwałością praktykować najtrudniejszą gimnastykę. Ów wegetarianin, który w pieszym wyścigu wyprzedził mięsożerczych współzawodników, był według Manninga wcale nie wegetarianinem, tylko owocojadem. Szerszy ogół niedostatecznie odróżnia te pojęcia, a jednak w oczach Manninga różnica między „zjadaczem chleba“ a owocojadem jest większa, aniżeli mięsożercą a wegetarianinem.

Choć p. Manning jest wymownym szerzycielem zasad owocozerstwa, nie jest on jednak twórcą tej teorii. Powstała ona nie w konserwatywnej Anglii, tylko w postępowej Ameryce. Odkrył ją Dr. Densmore z Nowego Yorku, który po wielu latach praktyki lekarskiej był o tyle szczerym, że wobec siebie i innych nie ukrywał swego niezadowolenia ze współczesnej medycyny. Zapragnął on choroby tępić jeszcze nim się okażą i badając przyczyny chorób doszedł do przekonania, że pożywienie niewłaściwe jest przyczyną złego. To go doprowadziło do owocozerstwa, jako środka zabezpieczającego od chorób. Obecnie Dr. Densmore propaguje swe poglądy w Ameryce, Manning zaś

w Anglii.¹⁾ Nie mając pretensyi do podobnego apostołstwa w Polsce, pragnąłbym jednak, aby powyższe streszczenie wywodów Dr. Densmora i p. Manninga zachęciło kompetentnych badaczy do bezstronnego wypróbowania diety Dr. Densmore i orzeczenia, jakie są jej skutki. Filozofia współczesna nie daje nam możności osądzenia z góry i bez specjalnych doświadczeń, czy życie bez chleba, mięsa i bez gotowanych potraw jest możebnem. Aby dojść do jakiegoś wniosku pod tym względem trzeba mieć odwagę spróbować żyć w ten sposób przez czas dłuższy i bacznie a umiejętnie obserwować wszelkie zmiany zachodzące w organizmie. Ciekawą rzeczą byłoby zbadać n. p. czy przy takiej dyecie człowiek może zwiększać swe muskularne siły, czy może wykonać mniej czy więcej mechanicznej pracy, czy potrzebuje mniej lub więcej godzin snu, czy szybkość odruchów się zwiększa lub zmniejsza, czy zachodzi jaka zmiana w organach oddychania. (Dr. Densmore twierdzi, opierając się na swoich doświadczeniach, że jego dyeta szczególnie jest zbawienną w chorobach dróg oddechowych.) Może kto zarzuci, że nie warto czasu tracić na tak szczegółowe naukowe badanie każdej nowej higienicznej propozycyi. Ale teoria Dr. Densmore nie jest tak obojętną, jak różne inne w nowszych czasach wymyślone „—izmy“. Jeśli sposób życia przepisany przez Dr. Densmore jest możliwy, to ma on przed sobą ogromną przyszłość, bo ułatwia nam życie niesłychanie.

Więc żywotną jest kwestyą wiedzieć, czy mamy poczytywać tę teorię za pierwszorzędnę odkrycie naukowe, czy też tylko za jeden z wielu wybryków amerykańskiej fantazyi.

Na pokładzie statku „Paris“ p. Manning i jego towarzysz Carter odznaczali się tem, że wcale nie doznawali choroby morskiej, nawet podczas lekkiej burzy, którą przebyliśmy.

Gdy statek idzie spokojnie z szybkością trzydziestu kilometrów na godzinę po gładkiej powierzchni Oceanu, wtedy zdaje się, że Ocean ten nie jest żadną przeszkodą w komunikacji między Europą i Ameryką — bo wszak nawet pospieszne pociągi między stolicami europejskimi nie wiele prędziej biegają. Ale przy najmniejszej burzy zaraz cała ta otucha ginie. Gdy bałwany morskie zalewają pokład o kilka pięt wznoszący się nad wodą, gdy statek pochyla się tak, że krzesła i ławki, jeśli nie są przymocowane, rozpoczynają taniec po pokładzie, a pasażerom marynarze każą zejść na dół do kajut, gdy w obawie zetknięcia się z innym statkiem, co kilka minut odbywa się

¹⁾ Po 4-tygodniowej próbie życia bez mięsa, chleba i gotowanych potraw, mogę czytelnika zapewnić, że na siłach nic nie straciłem, a koszta podróży znakomicie zmniejszyłem.

przenikliwa trąba parowa, gdy nawet na łóżku nie można bezpiecznie leżeć bez trzymania się — wtedy okazuje się jasno, że Ocean jeszcze nie stał się w zupełności kanałem komunikacyjnym, że zawsze pewniej można dojechać łodem niż morzem. Jednak to wrażenie znowu prędko przemija, gdy po uspokojeniu się morza patrzymy na długą smugę piany, wywołaną potężnymi szrubami okrętu, obracanymi z siłą 18 tysięcy koni parowych.

W rezultacie, gdy po 5—6 dniach podróży spotyka się łódź amerykańską, wiozącą na spotkanie okrętów przybywających z Europy sternika-specjalistę, umiającego bezpiecznie do portu wprowadzić nasz statek — wtedy doznajemy miłego wrażenia, że podróż do Ameryki nie jest tak trudną, jak się nam dawniej wydawało i budzi się postanowienie, że ta pierwsza podróż nie będzie ostatnią.

Oprócz niewyczerpanego bogactwa interesujących informacji, które czerpiemy ze znajomości z współpasażerami, na pokładzie spotykamy jeszcze wiele innych widowisk skracających czas. Artyści bezinteresownie dają koncerty, gimnastycy od rana do wieczora urządzają różne konkursy, wyścigi z przeszkodami, gry i zabawy. Ulubioną zabawą pasażerów „Paryża“ był „tug of war.“ Zabawa ta polega na tem, że dwa końce grubej liny są trzymane przez równą ilość osób, stojących w równej odległości od kreski zrobionej, prostopadłej do kierunku liny. Na dany znak, obie strony zaczynają ciągnąć, aż silniejsza przeciagnie słabszą za kreskę. Zwykle jedna strona przedstawiała Amerykę, druga Anglią — i prawie zawsze Ameryka zwyciężała.

W przedostatniem dniu podróży urządzono świetne przedstawienie gimnastyczne amatorskie, przy czem zwycięzcy otrzymali różne nagrody, dochodzące do dosyć znacznej wartości. Wszyscy pasażerzy pierwszej i drugiej klasy byli zaproszeni do udziału, ustanowiono komitet ekspertów, mających przyznawać nagrody, wydrukowano program zapasów i z całą powagą rozpoczęto konkurs ubiegających się o nagrody. Były tu wyścigi z przeszkodami i bez przeszkód, skakanie w worku wciągniętym na nogi i dochodzącym do szyi, skoki na odległość lub na wielką wysokość, ulubiony „tug of war“ Ameryki przeciwko Europie (ze zwycięstwem Ameryki). Wszystko to atleci brali tak do serca, że zwycięzca nieraz po odniesieniu zwycięstwa przez pół tuzina improwizowanych lekarzy, zalecających mu coraz to inne orzeźwiający środki.

Przy tej okazji wychodziła na jaw jedna rażąca słabość Angloamerykanów: ich zamiłowanie do zakładów. Każdemu

wścigowi towarzyszyło mnóstwo zakładów i tysiące dolarów zmieniały swych właścicieli. O wszystko się zakładano: o pogodę jutrzejszą, o godzinę przybycia do Nowego Yorku, o numer pierwszej łodzi amerykańskiej, którą statek spotka, o ilość mil, którą statek zrobi w ciągu każdej doby, o dokładną cyfrę ilości pasażerów, dopóki ich wykaz nie był dokonany i t. d. W południe, gdy wnoszono na kartę Atlantyckiego oceanu, wiszącą na ścianie sali jadalnej, linię oznaczającą drogę przebycia w ciągu ostatnich 24 godzin, tłum pasażerów z niecierpliwością przyglądał się, aby dowiedzieć się, kto odgadł najdokładniej przebyta ilość mil morskich i wygrał zakłady.

Publicyści jadący z nami, wydali jeden numer gazety okrętowej, w którym były podane bieżące wiadomości o różnych zdarzeniach podczas podróży i o interviewach z wybitniejszymi pasażerami.

W tej gazecie wyczytaliśmy także artykuł pani Besant, głoszący wyższość wschodniej nad zachodnią cywilizacją, ale znowu z braku miejsca, artykuł ten, jak i poprzedzające go kazania, nie zawierał uzasadnienia wyrażonych w nim twierdzeń.

Ostatniego dnia podróży wszyscy byli zajęci pisanem listów, które jeszcze przed wylądowaniem pasażerów miały być rozesłane po części do Europy statkiem tegoż dnia wracającym do Southampton, po części kolejami do różnych miast Ameryki. Ruch w biurze pocztowem okrętowem był ogromny — wszyscy prawie kupowali marki i karty pocztowe amerykańskie. Przy tem ujawniła się nowa osobliwość zamiłowań Angloamerykanów. Ze wszech stron zbierano autografy. Osoby, z którymi przez cały czys podróży nie zamieniłem ani jednego słowa, zbliżały się do mnie, bez ceremonii kładły mi w rękę złote pióro (fountain iridium pointed gold pen), lub stylograficzny ołówek i rozkazywały: „your autograph please.“ Widocznie brały mnie za wschodniego mędrca dlatego, że z Hindusami i z panią Besant dużo rozmawiał, albo dlatego, że dowiedziały się, że wykladam filozofię w najwschodniejszym z europejskich uniwersytetów.

Statek nasz, wskutek napotkanej po drodze burzy i ciemnej mgły, wśród której przez kilkanaście godzin się wolniej posuwał, był trochę spóźniony. Jednak po 6 dniach i kilkunastu godzinach żeglugi ujrzeliśmy Sandy Hook, przylądek u wejścia do portu nowojorskiego. Wszyscy z ciekawością patrzyli na wybrzeże i na liczne okręty nas otaczające. W ciągu podróży każdy statek parowy spotykany był przedmiotem wielkiej ciekawości i ściągał wielu pasażerów ku miejscu pokładu, skąd go najlepiej można było widzieć. Teraz, podczas kiedy nasz statek

ze zmniejszoną szybkością psuwał się przez zwężenie zatoki prowadzące do właściwego portu, oprócz licznych statków widać było po obu stronach lekko górzyste wybrzeża, domy, fabryki i ogrody. Zewnętrznie wybrzeża te niczem się nie różniły od wybrzeży Anglii, tydzień przedtem opuszczonych — a jednak jakże wielka różnica zachodzi między życiem tu i tam! Wybrzeża Ameryki otwierały nam widok istotnie nowego świata, zamieszkałego przez społeczeństwo znacznie mniej zależne od tradycyi, znacznie śmielsze w zastosowaniu teoretycznych zdobyczy rozumu do praktycznego codziennego życia.

Zbliżając się coraz to więcej, widzieliśmy po lewej stronie Jersey City, po prawej Brooklyn, a w dali przed nami na małej wysepce olbrzymią złożoną statwę wolności, przez Francuzów Stanom Zjednoczonym ofiarowaną w stuletnią rocznicę ich powstania. Pomnik ten wysokości 46 metrów jest prawdopodobnie największem co do rozmiarów dziełem sztuki na ziemi. Podniesiona prawica bogini amerykańskiej trzyma elektryczną pochodnię, oświetlającą wieczorem cały port. Dniem zaś złożona figura łśni w promieniach słońca i budzi szereg myśli u wejścia do Nowego Świata. Za nią piętrzą się wysokie budowle Nowego Yorku i statek powoli wchodzi do doku. Na wybrzeżu tysiące ludzi oczekują przyjeżdżających nim znajomych i krewnych, powiewają chustki i kapelusze, krzyżują się głośnie pytania i odpowiedzi. Pasażerzy żegnują się między sobą i obiecują sobie, że się może kiedyś jeszcze zobaczą, często też wymieniają swe adresy w celu stałej korespondencji.

Jak tylko pomost statku połączony został ze stałym lądem, tłumy rzucają się ku wyjściu, aby powitać tych, co ich oczekują. Mnie nikt nie oczekiwał, więc się nie spieszyłem z opuszczeniem tego statku, na którym tyle interesujących poznałem osobistości, tyle ciekawych doznałem wrażeń. Myślałem sobie, że gdybym w tej chwili miał wracać do Europy nie poznawszy Ameryki, to jednak nie żałowałbym, że tę podróż przedsięwziął i wróciłbym o tyle wzbogacony doświadczeniem, że tęskniłbym, o tyle wzbogacony doświadczeniem, że tęskniłbym do rozpoczęcia jej na nowo. Pożegnałem moich nowych znajomych, z nadzieją spotkania wielu z pomiędzy nich na wystawie w Chicago i powoli, nie zatrzymany przez nikogo, nie pytany o paszport, udałem się na miasto piechotą z planem w jednej ręce a torebką z rzeczami w drugiej. Rewizya rzeczy wydała mi się znacznie łagodniejszą niż na wielu granicach europejskich. Jeszcze na statku zażądano od nas piśmiennej deklaracji, czy mamy co do oclenia — po wyładowaniu dosyć pobieżnie sprawdzano prawdziwość owej deklaracji.

Tydzień na Oceanie minął i tyle wrażeń pozostawił, ile nigdy prawie tydzień podróży na stałym ładzie mi nie dał. Szczególniej łatwość zawierania znajomości i dłużej trwająca możność korzystania z tych nowych znajomości, korzystnie odznacza podróż morzem od podróży lądem. Przebycie z kimś całego tygodnia razem więcej znaczy, niż krótkotrwałe spotkanie w hotelu lub na kolei. Zawijają się stosunki, które trwać mogą długo, może przez całe życie. Nawet w zakresie mego fachu, filozofii, skorzystałem tyle, żem poznał żywych przedstawicieli najdawniejszych szkół filozoficznych i przekonałem się, że ich mniemana wyższość nad nami polega jedynie na nieznaności naszej filozofii. Ci indyjscy misjonarze, pragnący szerzyć budyzm wśród chrześcian, chwalać się, że wiedza ich dawniejsza niż nasza, jest zarazem lepszą, wydali mi się podobnymi do dziecienniałych staruszek, tęskniących wiecznie do pięknych dawnych czasów — czasów, które im się wydają pięknymi dlatego, że same podówczas były pięknymi i młodem. Pani Besant, głosząca pod tytułem indyjskiej filozofii dawno w Europie znaną i uznaną chrześciańską miłość bliźniego, wydała mi się ofiarą oszustw smutnej pamięci wymownej pani Bławackiej. Ze jednak pani Besant jest oczywiście miłośniczką dobra i prawdy, i dała już wiele dowodów, że nie wstydzi się przyznać do błędów, gdy spostrzeże, że się myliła, więc nie wątpię, że z czasem porzuci całą tę indyjską teozofię, jak porzuciła bezpłodną propagandę ateizmu. Jest to kobieta wielkich zdolności i tak wymowna, jak nigdy jeszcze nie zdarzyło mi się spotkać żadnego mowcy.

Nareszcie p. Manningowi zawdzięczam, żem został przezeń pobudzony do interesującego doświadczenia, i że za kilka miesięcy będę w stanie orzec, czy jest prawdopodobnem, że nasze pola kiedyś zmienią się na ogrody.

Podróż do Ameryki, jakkolwiek w naszych ciasnych stosunkach wydaje się odległą, daje nam jednak znajomość zaledwie drobnej części powierzchni ziemi. Podróż do Nowej Zelandyi jest przeszło trzy razy dłuższą, a do Japonii cztery lub pięć razy dłuższą. Więc kto chce rozszerzyć widnokrąg swego doświadczenia, a nie może zwiedzić dalekiego Wschodu lub południowej półkuli, ten powinienby przynajmniej posunąć się na Zachód aż do wybrzeży Stanów Zjednoczonych. Podróż z Warszawy do Bostonu i nazad nie jest wcale kosztowniejszą niż kilkumiesięczny pobyt w Paryżu, a jest stokroć więcej pouczającą. Dziwna przesada panuje u nas, gdy mowa o kosztach podróży za Ocean. Faktycznie, jeśli ktoś nie jest wymagającym i nie wiezie ze sobą dużo rzeczy, może odwiedzić Waszyngton,

Boston, Nowy York, Filadelfię i wrócić do Warszawy za 400—500 rubli, to jest tyle, ile wydaje wielu na krótko trwałą podróż do wód lub kąpieli morskich.

Zresztą znając angielski język i umiejąc jakie rzemiosło można powyższy wydatek znacznie zredukować, bo tylko nie wykształcony emigrant doznaje trudności w znalezieniu dobrego zarobku. Kto dla miłości wiedzy by chciał darmo odbyć podróż za Ocean, niech poświęci kilka tygodni na powierzchowne poznanie kunsztu n. p. kucharskiego i pozbędzie się wszelkich europejskich uprzedzeń, a dowie się bodaj więcej jeszcze o amerykańskim życiu, niż jadąc jako pasażer I. klasy. Wśród moich towarzyszy podróży spotkałem kilku takich, co w podobny sposób po raz pierwszy dostali się do Nowego Świata, a potem dorobili się majątku, który u nas uchodziłby za bogactwo.

Jedno tylko trzeba mieć na uwadze, wybierając się w podobną podróż: niezbędnem jest poprzednio dobrze się wyuczyć wszechświatowego języka, gdyż wśród Angloamerykanów zadziwiająco mało jest rozpowszechniona znajomość innych języków. Nawet ci, co podróżowali po całej Europie nieraz nie są w stanie mówić po francusku lub po niemiecku. Już w Londynie trudno jest dać sobie radę bez angielskiego języka, a w Ameryce, choć żyją tam miliony Niemców, Francuzów, Polaków, nie łatwo jest w pierwszej podróży trafić do nich i chcąc wyzyskać wszelkie korzyści takiej wycieczki, koniecznem jest władać w zupełności bogatym językiem wszechświatowym. Czas użyty na nabycie wprawy we władaniu tym językiem nie będzie stracony, bo oprócz korzyści wynikającej z możności porozumienia się z $\frac{1}{12}$ częścią mieszkańców ziemi — tyle bowiem ludzi mówi po angielsku — znajomość tego języka daje nam możność poznania w oryginale najbogatszej literatury, czytania najlepiej poinformowanych peryodycznych wydawnictw i wyrażania naszych myśli w mowie najzwęższej i najdostępniejszej ogółowi ludzkiemu.

Chic ago.

W. Lutosławski.



W ramkach z filigranu.

I.

Powiatka sentymentalna.

W łagodną noc jesienną bładzili zwolna we dwoje po opustoszałych ulicach miasta, słabo oświetlonych żółtymi błyskami gazu — i zaszedłszy do ogrodu przystanąli na chwilę przed fontanną, której srebrzysta struga rozpryskiwała się z cichym jednostajnym szelestem.

Smukła dziewczyna z pochyloną głową, wpatrując się w grę świateł w basenie, szepnęła: „Więc to ostatni wieczór, jaki razem spędzamy. Jutro o tej porze będziesz już w Monachium“.

On rzekł na pół żartem: „Malańka, pamiętasz nasz układ? Oto, że jeśli się kiedy sobą znudzimy, lub z jakiegokolwiek powodów rozejść się nam wypadnie — rozstaniemy się bez łez i żalu i zachowamy tylko miłe wspomnienia ubiegłych chwil i wzajemne uczucie przyjaźni?“

„Tak“ rzekła. „Lecz pewno nie spotkamy się więcej — i tylko chyba w dzienniku usłyszysz kiedyś o Tobie, o twych obrazach — oh! pewna jestem, że zdobędziesz sławę — —“ Zamilkła i myślała, że nie wrócą już słodkie wespół z nim przeżyte chwile, że już go więcej nie zobaczy — i zwolna łzami zasłzy jej oczy.

I stali tak, a biała pienista struga fontanny tryskała z cichym monotonnym szmerem.

„Ty płaczesz?“ zapytał jej nagle, widząc łzy lśniąca na jej twarzy.

A ona, podnosząc ku niemu ławę źrenice: „O nie“, odparła cicho, „to wiatr zawiał i prysnął mi w twarz kilka kropel wody“. I uśmiechnęła się.

A fontanna tryskała ze smętnym monotonnym szelestem.

II.

„Fantasia lunatica“.

Księżyc często świeci w moje okno.. Wtedy gaszę świecę i myślę o tem i owem, a myśli moje roztapiają się w mgłę tego sennego światła.

Tak było i owego wieczora. Przez okno moje spoglądałam na niezmierzone morze srebrzystych dachów i wieżyc, gubiących swe fosforyzujące szczyty gdzieś daleko — — — Jaka piękna noc, letnia, łagodna i cicha!

W takie noce czarownice kąpią się w świetle księżyca i płyną w górze nad uspionym światem.

Znam czarownicę o czarnych bezdennych oczach. Czyż i ona płynie na fali błękitu, czyż zdołam ją ujrzeć w tych rozsrebrzonych cieniach — — —?

I otwarłem okno mego poddasza — i wysunąłem się na ogromny szeroki płaski dach.

Tam w dole miasto spi, przykryte oceanem szczytów i kopuł, zalanych martwymi blaskami, utopionych w ciemności. Księżyc jaśniał wielkim bladym kręgiem. Nadpłynie ciemna chmura, przytuli się do księżyca — i księżyc umrze —

Oparłem się o róg dachu, pogrążony w mroku, i patrzyłem długo.

Przedemną, po szczycie dachu, chodził duży czarny kot o błyszczących ślepiach. Chodził spokojnie.

Nagle zatrzymał się.

Powoli zbliżała się ku nam, w powietrzu, postać kobiety. Była to ona, czarownica z czarnymi oczyma — płynęła naga, włosy spadały jej na piersi.

Płynęła powoli, ledwo wznosząc się nad dachami. Na szczycie stał nieruchomo czarny kot i wpatrywał się w nią zielonemi ślepiami. Nie lękał się wcale zjawiska tej kobiety, której białe ciało srebrzyło się w cieniu.

Płynęła tak nisko, że w przełocie musnęła go nogą po głowie. Nie uciekł — zatrzymała się i poczęła drażnić kota, przesuwając mu nogę po miękkim lśniącem futrze — i śmiała się przytem wesołym śmiechem.

Skoczyłem ku niej. porwałem ją w ramiona. O czarownico, demonie „Zuchwalczo!“ krzyknęła, prostując się gwałtownie i skinęła ręką.

Upadłem — straciłem wszelką władzę nad ciałem, leżałem bez ruchu.

A ona śmiała się wesoło.

Wysunęła nogę i poczęła się ze mną bawić, jak z kotem.

Położyła mi nogę na piersiach, na głowie, przyciskała ją do ziemi i śmiała się — — Wtem światło księżyca zaczęło się w chmurach topić i zamierać. Było ciemno i zimno. Nagie jej ciało świeciło białością marmuru.

Podniosła się w powietrze i cicho znikła, rozplynęła się w cieniach.

Ale zobaczysz mnie jeszcze, demonie!

Życie moje oddałem mistrzom starym, co czarami słyęli. I zbadam wszelkie tajniki złej wiedzy i zgłębię wszelkie tajemne moce i wybuduję wieżę wysoką i na jej szczycie rozwieszę siatki z srebrnych drutów, które pochwycą was w locie, czarownice!

Wtedy i z tobą się zobaczę, demonie!

III.

Pastel.

Ma delikatną, pełną twarzyczkę, owianą włosów miękkimi sploty, co przeświecają i lśnią w pobłyskach jak złote runo, jak złoty puch — usta wiśniowe i modre oczy i zwie się Hala, Halka, Haleczka. — Milutka, śliczna, niebieskooka i złotowłosa laleczka.

Leniwa troszkę, lecz jakżeż zdolna! Chętnie powieści czyta francuskie i tańczy ładnie i gra z uczuciem. Czasem z wieczora, w pół rozmarzona, tak przez pięć minut, albo i dłużej, lekko białymi trąca paluszki klawisze, nucąc przytem cichutko jaką piosenkę. Ach, jaka miła niebieskooka i złotowłosa laleczka.

I lubi bardzo teatr muzykę, czasem rozmowę też z pokojówką i lubi bardzo swe fotografie, lubi malarzy (co portretują) i lubi panów ładnie ubranych. I jest okrótna, ach jak okrótna względem tych panów — okrótna, śliczna, niebieskooka i złotowłosa laleczka.

A najładniejsza w bladych kolorach. Ma więc sukienki blade niebieskie i ma sukienki bladoróżowe i pantofelki czarne, maleńkie, maleńkie serce, maleńką duszę, maleńki, taki luby rozumek, i brzoskwiniowy urok świeżości — milutka, ładna, niebieskooka i złotowłosa laleczka.

Dziś w osiemnastej wiosny rozkwicie korne u nówek swych widzi rzesze, lecz acz zalotnie oczyma strzela, nie myśli jeszcze zbyć się swobody. Później, za rok, za dwa lata może, odda swą białą, pieszczoną rączkę jakiemu panu z pięknym majątkiem i będzie panią. Tak, i utyje pewno troszeczkę, bo pono dziś już lekką po temu skłonność objawia. Lecz cóż to znaczy? Jest sobie śliczna, niebieskooka i złotowłosa laleczka.

IV.

Brutalny.

Zaproszony przez swego przyjaciela, by po trudach egzaminów odetchnął wśród świeżej zieleni łąk i lasów, ośmnastoletni Kazimierz przybył na kilka tygodni w gościnę do wiejskiego dworu.

Przyjęto go z otwartymi ramiony, a nad wyraz uprzejmie i zalotnie uśmiechnęła się doń na powitanie uroczą, młodziutka dziewczyna, kuzynka jego przyjaciela, bawiąca od niedawna w zacisznej ustroni.

Młode serce Kazimierza uwikłało się odrazu w złotą siateczkę uśmiechów zalotnej dziewczyny, której czarne oczy migotały niekiedy płomykami złośliwej przebiegłości. Razu pewnego pod wieczór, spotkawszy ją samą na werandzie, wyznał jej, iż ją ubóstwia — i drżał cały, bo był to młodzieniec niedoświadczony i wrażliwy. Dziewczyna odrzekła cichutko, że zdaje się jej, że żywi dla niego gorącą sympatyę, nie bronila mu rąk, które namiętnie całował i przyrzekła go wreszcie kochać, jego jedyne.

Odtąd płynęły mu dni w rozkosznem upojeniu. Jednego wczesnego poranku udał się z tomem poezyi do ogrodu i spoczął na ławce schowanej w cieniu, gdzie dobrze było dumać i marzyć. Wtem ułyszał za sobą zbliżające się głosy, odwrócił głowę i przerniknął wzrokiem gęstwę osłaniających go zarośli.

Na zielonym kobiercu murawy przy krzaku rozkwitej żółtej róży stała jego ukochana, cała jasna w blaskach słońca — i podawała ręce kuzynowi, który z uniesieniem pytał, czy go kocha... Schylając śliczną głowę uśmiechała się do niego słodko i zalotnie.

I zrywała kwiaty do bukietu, ale widocznie żar słońca dokuczał jej widocznie, więc rzekła do swego towarzysza: „Mój drogi, przynieś mi parasolkę.“

A gdy ów szybko poskoczył ku domowi, Kazimierz cicho opuścił siedzenie i przesunawszy się niepostrzeżenie przez zacienioną aleję, podchodził z drugiej strony ku dziewczynie. Z nadmiaru wzruszenia poblądł i drżał, bo był to młodzieniec niedoświadczony i wrażliwy.

Ładna dziewczyna, skąpana w bieli słonecznej, ujrawszy go rzekła słodko: „Dzień dobry panu“ — i podała mu uszczknięty paczek żółtej róży, lśniący kropelkami rosy.

Jak nieprzytomny patrzył na tę uroczą kłamliwą dziewczynę. W nagłym wybuchu i gniewu i żalu zawołał stłumionym głosem: „O ty — !“, rzuca jej w twarz różę i odbiegł pełen oburzenia i bólu.

A ona pojąwszy w jednej chwili, co się stało, powiodła za nim wzrokiem potrosze gniewnym, potrosze tryumfującym. W tem uczuła lakki ból w policzku w miejscu, gdzie w przelocie musnęła ją gałązka róży. Wyjęła maleńkie zwierciadelko kieszonkowe i dostrzegła na twarzy drobne draśnięcie, spowodowane cierniem rzucanego kwiatu.

I na myśl, iż drobna ta ranka nie zgoi się odrazu i przez dzień lub dwa widnieć będzie na jej różowej twarzącyce powzięła wielką nienawiść ku biednemu chłopcu, który teraz na pół szalony biegał w swym pokoju — i poczęła płakać, uważając się za brutalnie skrzywdzoną.

Wiedeń.

Ludwik Szczepański.